Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Kolekcja Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

Nr. 75 STYCZEŃ 1931 Rok VIII

PANTEON POLSKI

Poświęcony Kronice Walk o Niepodległość, Bohaterstwu Żołnierza Polskiego i Pamięci Poległych o Wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

PKO. Warszawa 152.930. - - Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 1 ZŁ.

Przeczucie.

Było to w czasie wojny bolszewicko-polskiej, gdy wróg zalał nieomal cały kraj swemi wrażemi hordami i stanął nad szaremi nurtami Wisły, zagrażając Sercu Polski — Warszawie.

Cofanie się wojsk polskich z pod Kijowa i zwycięski marsz czerni przybliżyły front aż pod mury Warszawy. I tam właśnie miała się rozegrać ostatecznie walna przeprawa Polski o swój niezawisły byt i wolność Ojczyzny.

Społeczeństwo całej Polski ocknęło się wtedy z letargu niemocy, zapomniało o partjach i swarach politycznych, podało zgodnie sobie dłonie i na wezwanie „Do broni!" licznie stanęło pod sztandarem Boga i Ojczyzny w szeregach Armji Ochotniczej.

W tym ciężkim momencie dla kraju przybyli dalecy tułacze okrężną drogą morską z obczyzny rozbitkowie 5-ej dywizji armji polskiej na Syberji, a wraz z nimi nieodżałowanej pamięci podporucznik Eugenjusz Prante. Wskrzeszając minioną chwałę swojej dzielnej dywizji, stwarzają na Pomorzu w Grupie pod Grudziądzem i w Toruniu t. zw. „Brygadę Syberyjską Piechoty" z ochotników Pomorza, Galicji i Kongresówki. W jej szeregach nie brakuje żadnego Sybiraka, którzy są dlań kadrą i instruktorami.

Dowódcą 2 komp. karab. maszynowych 2-go p. p. syberyjskiej, był śp. ppor. Eugenjusz Prante, który wraz z młodziutkimi ochotnikami przeżył wiele dobrych i złych dni na warszawskim froncie, aż młode swe życie położył na ołtarzu Ojczyzny w ofierze.

Prante był dzielnym dowódcą, pełen energji i radości życia, o głębokiej wierze w zwycięstwo. Był dla żołnierza nietylko dowódcą czynu orężnego, ale i ducha świetlanego i płomiennego. Szedł w bój radośnie, niczem w tańce, a oczy jego pałały i gorzały błyskawicami ognia wewnętrznego, który rozsadzał mu piersi... Do samego końca, gdy śmierć zajrzała mu w oczy, wierzył święcie, że Polska zwycięży wroga i rozrośnie się w wielkie potężne Państwo Mocarne, bo jak nam ochotnikom mówił, w noc poprzedzającą zgon bohaterski na pozycji karabinu maszynowego, gdy przyszedł nas zlustrować i rozdać chleb: „Polacy, jako naród bohaterski, idą śladami świetlanych dróg swych przodków i składają z radością życie swe na ołtarzu Ojczyzny". „W przyszłość patrzę bez obawy i wierzę, że Polska odzyska niebawem swą zagrożoną wolność i będzie silna... Wierzę święcie, że bój pod Warszawą będzie naszem zwycięstwem i że oręż polski okryje się znów wiekopomną chwałą. Wy — ochotnicy — jako najmłodsi żołnierze polscy, którzy rzuciliście wszystko i poszli na zew Ojczyzny — zwyciężycie! Duch jest w was silny, serca pełne ofiary i czynu zbrojnego — kocham was za to"...

„Bolszewików zgnieciemy u wrót stolicy, odzyskamy znów utraconą ziemię i doczekamy się pokoju!"...

Te słowa płynęły z głębi jego serca i robiły na nas ogromne wrażenie — słuchaliśmy z zapartym oddechem, by nie uronić ani jednego tak cennego wyrazu.

„...Przeczucie, które od szeregu dni mnie prześladuje, mówi mi dniem i nocą, że nie doczekam szczęśliwego dnia zwycięstwa nad wrogiem, bo śmierć czyha na mnie i gotuje się do skoku. Ginę z radością, bo na stanowisku, z bronią w ręku, na polskiej ziemi, w obliczu wroga, u stóp Warszawy, spełniając swój obowiązek względem Tej, która mi dała życie... Nie martwcie się, gdy odejdę w nieznane jutro, lecz idźcie drogą mych wskazań i bądźcie do końca życia dobrymi, prawymi synami swej Ojczyzny. Duch mój zawsze będzie z wami, tak w dobrej jak i złej chwili... Pamiętajcie, że

śmierć na polu chwały jest dla nas, rycerskiego narodu polskiego, chlubą i ogromnym zaszczytem. Nie lękam się też nieznanego jutra, nie rozpaczam, bo ginę za sprawę polską, broniąc Jej wolności"...

I nie omyliło go przeczucie; bo o świcie w dniu 17 sierpnia 1920 r. poległ śmiercią bohaterską na stanowisku, na przystanku kolejowym pod Świerczami koło Modlina, rażony w czoło trzema kulami bolszewickiemi z karabinu maszynowego ze wsi Prusinowicze. Zawieziony w malignie do szpitala polowego w Nowem Mieście, ciężko ranny, mimo starań lekarskich, nie odzyskawszy przytomności, zmarł po trzech godzinach męczarni. Pochowany jest na tamtejszym cmentarzu.

Zginął, jak na prawego Polaka i Żołnierza przystało, na stanowisku, dając swe życie Tej, którą do śmierci ukochał i dowiódł tego na sobie.

Odszedł, gdy Jutrzenka Wolności i Zwycięstwa już nam świtała, odszedł od nas ten najlepszy nasz Ojciec, Brat, Kolega i serdeczny Przyjaciel (prosił, byśmy go za takiego uważali), na zawsze w zaświaty i nie może się cieszyć wraz z nami odniesionemi zwycięstwami.

Będzie jednak zawsze z nami, w naszych sercach, przy nas, czujemy Go i modlimy się codzień za Niego.

Władysław Rola Sujkowski
ochotnik B-dy Syb. 1920 r.

Małopolska Wschodnia w 1918 r.

Z relacyj otrzymanych bezpośrednio po odbiciu Jaworowa i okolicy notujemy następujące dane.

Dr. Jan Orski lekarz powiatowy opowiada:

„Szpital wojskowy zwiedzałem co dnia począwszy od 2 grudnia 1919. Stan rannych dochodził do 150 ludzi. Z rannymi obchodzili się wogóle w sposób jak najgorszy. W grudniu przy jednej partji rannych tylko dzięki opornemu stanowisku pielęgniarek ukraińskich żołnierze ruscy, szczególnie wachmistrz Walan i Zawierny nie pozabijali, nie bili i nie katowali. Rannych przyprowadzono takich, którzy obok ran otrzymanych w bitwie mieli rany widocznie zadawane widłami, siekierami i motykami, nadto rany tłuczone od kijów. Ranni opowiadali otwarcie o znęcaniu się nad nimi. 12 grudnia w czasie mojej nieobecności wpadł kpt. Błyżniak do szpitala z rewolwerem i chciał rannych strzelać. Dzięki obronie pielęgniarki nie zrobił tego, ale kazał 17 rannych wywieźć niby do Żółkwi. Z tych jeden w drodze uciekł a 16 pod Szkłem eskorta zastrzeliła, o czem dowiedziałem się znacznie później. Przy ekshumacji zabitych w dniu 24 kwietnia stwierdziłem rany tłuczone za życia na głowach i piersiach, prawdopodobnie kolbami karabinów. Szczególnie Jan Siatecki miał guz na prawej skroni i wybite oko. Dyscyplina w wojsku ruskiem była bardzo marna, żołnierze oficerów nie słuchali i odnosili się do nich lekceważąco. Oficerowie między sobą żyli w nieprzyjaźni. Znane były zatargi kpt. Klee z kpt. Błyżniakiem. Przeciwko Błyżniakowi występywali właśni oficerowie i mieli go aresztować. On uprzedził ich zamiar, kazał sobie przysięgać przed magistratem żołnierzom, a następnie obstawił karabinami maszynowymi i patrolami miasteczko i kazał tych czterech oficerów aresztować, byli to por. Jarenko, Kyś, Czuma i czwarty nieznajomego mi nazwiska.

Niedługo potem wybuchł bunt między żołnierzami kierowany przez kpt. Klee przeciwko kpt. Błyżniakowi. Na rynku w Jaworowie było wielkie zebranie, na którym Klee pytał ich, czy chcą żeby Klee był ich wodzem. Żołnierze nie ogłosili go jednomyślnie, jednak kpt. Klee kazał im potem przesiądz, a następnie pytał ich o zdanie co do trzech uwięzionych za rozboje żołnierzy. Z wyroku zebrania kazał tych rozstrzelać. Po tych faktach inteligencja ruska miejscowa głośno mówiła o bolszewiźmie w wojsku. Zaszły też w okolicy wypadki rozruchów typowo bolszewickich na tle podziału gruntów. Opowiadano o rozparcelowaniu gruntów hr. Colonny — Czosnkowskiego i hr. Szeptyckiego. Parcelowanie gruntów Szeptyckich dowodzi zwracania się do wszystkich większych posiadaczy. Dnia 1 stycznia napadli żołnierze na majątek Zygmunta Orskiego, twierdząc, że panowanie panów już ustało. W tym samym czasie miał miejsce napad na Świdnicę, gdzie chłopi z najbliższych okolic napadali i rabowali i ranili p. Fangora.

Chłopom i żołnierzom obiecywano po 4 morgi ziemi i ci wyraźnie mówili, że się dlatego biją. Wogóle słyszałem, że podziały gruntów miały już nastąpić tylko wejście wojsk polskich temu przeszkodziło. Kpt. Klee był niemcem, austr., który nie umiał ani po polsku ani po rusku. Z armji niemieckiej przebywała u nas cała kolumna sanitarna z obsługą a oprócz tego niejednokrotnie widać było oficerów w mundurach niemieckich, jeden z nich nazywał się Dittler. Kapitan ten był ostatnim komendantem ruskim w Jaworowie".

Stanisław Mosur, notar. koncept. urzędnik, tak opisał swe przejścia:

„Podczas inwazji przebywałem w Jaworowie z wyjątkiem czasu, gdy byłem internowany od 6. stycznia 1919 do 30 stycznia. Potem oddany pod dozór domowy, który trwał aż do czasu wejścia wojsk polskich. W więzieniu przebywałem w Jaworowie, skąd prowadzono mnie w stronę Ka-

nionki str. po drodze jednak z powodu ataku wojsk polskich zawrócono z powrotem.

Z nami razem prowadzono 5 żołnierzy polskich. Ukraińcy bardzo się znęcali nad nimi, bijąc ich pięściami w nos i trzciną. Przejeżdżający kom. Klec kazał nas rozstrzelać, czego nie wykonali żołnierze na nasze prośby i błagania. W więzieniu obchodzili się z nami bardzo źle, nie dawali jeść, spaliśmy na deskach. „My wsi pryłuczymo sia do bolszewikiw" mówili żołnierze ukr.

Jak „żołnierz i oficer ukraiński" iście po barbarzyńsku obchodzili się z jeńcami naszymi świadczą niektóre fakty zebrane przez nas.

Dnia 8 stycznia zamordowano w bestjalski sposób żołnierza polskiego (podobno Karola Risa lub Ricza), stacjonowanego ostatnio w Mościskach. Przyprowadzonego do Krakowca bili nahajkami i szablami i potem kazali mu całować koni i modlić się w stajni po polsku i po rusku, a gdy nie umiejąc po rusku nie mógł się modlić, pytali go i bili: „po szczoś iszow na rusku zemlu". Potem kazali mu biedz przed końmi do stawu około 1 km. Do stawu kazali mu skoczyć a potem w wodzie strzelił do niego jeden w głowę. Nie pozwolili go wyjąć z wody, aż uciekli przed ofenzywą polską i wtedy polacy wydobyli go i pochowali w Krakowcu na cmentarzu.

Drugiego żołnierza Jana Klehana z Lackiej Woli, ze stacji w Mościskach przywieźli nieżywego i jak wskazywały ślady pobicia na ciele, silnie pobitego i posiniaczonego, szczególnie po głowie.

Żołnierze zbiegli z niewoli ukraińskiej: Piotr Sałata, Józef Chripała, Józef Gawełka, Józef Pajda, Jan Koźluk, Roman Artka, Kazimierz Wołczyński zeznali:

„Wzięto nas do niewoli 7 marca pod Wołczuchami. Obdarto nas doszczętnie i bito w nieokreślony sposób, gonili nas przez trzy dni bosych i nagich po błotach i rzekach. Przywieźli nas do Rudek i oddali w ręce żandarmów. Stamtąd do Sambora: w wagonach bito nas i kazali tańczyć i pluć na Polskę.

Było wiele wypadków mordowania internowanych i jeńców po drodze i w obozie W Rohatynie".

P. Marjan Skrobidurski czel. rzeźnicki z Zamarstynowa opowiada, że dnia 4 listopada dostał się na dworcu czerniowieckim do niewoli. W wagonach zrabowano wszystko i odwieziono do Stanisławowa. Już na dworcu bił go chorąży pijany, wracający z wojska austr. Następnie zamknięto go w barakach w Kołomyji. Internowanego Bukasa z Górki pod Stanisławowem (lat 19) bito strasznie bykowcami, chcąc zmusić na nim zeznanie, że jest szpiegiem polskim.

Żołnierz Stanisław *Narwrocki* zeznał:

„W walce pod Bartatowem dostałem się dnia 13 stycznia do niewoli ukr. Ukraińcy obrabowali natychmiast doszczętnie dając w zamian łachmany. Odstawili mnie do Szczerca piechotą z dwoma innymi jeńcami. Drugiego dnia przywieziono nas do Stryja, gdzie jako pierwszy posiłek dano nam silnie soloną rybę bez wody. Po 20-godzinnem pobycie w Stryju odwieziono mnie do Kołomyji. Na stacji w Stanisławowie byliśmy świadkami brutalnego pobicia kolbami kierownika szkoły z Komarna, któremu zarzucono płachtę na głowę i bito za to, że nie chciał oddać żołnierzom swego futra. W Kołomyji pastwiono się nademną i moimi kolegami, bijąc kułakami w twarz przyczem wybito mnie ząb w przedniej górnej szczęce".

Zaś Jakóbczyński Jan podaje:

„Dnia 6 grudnia 1919 r. zostałem internowany we wsi Stawczanach razem z Józefem Walterem, którego zaraz na placówce w Nawarji obrabowano, zdarto z niego buty, chciano i na mnie tego samego dokonać, ale się stanowczo oparłem. Odesłano nas do Pustomyt, gdzie ksiądz ruski jaknajgorzej nas przyjął, wołając: „Szczo to sukensyny"? Czy pryszły Polszczu zdobywaty na ukraińskiej zemli? Tam zastaliśmy 6-ciu zabranych do niewoli legjonistów już porządnie obitych i obdartych. Stąd połączono nas razem z nimi i pędzono pieszo aż do Szczerca, gdzie nastąpiło przesłuchanie. Sąd stanowił m. i. oblt. Gregorowicz z Leśniowic, który mnie zasądził na 20 lat, czeladnika na 15 lat, fähnr. Bassa i inni.

Legjonistów katowano w niemiłosierny sposób, zwłaszcza studenta ze Lwowa Moysowicza, którego bito, cały był zlany krwią. Potem zamknięto nas w aresztach i przeprowadzono rewizję. Po trzydniowym pobycie odesłano nas do Stryja do aresztu, a po trzech dniach przez Stanisławów do Kołomyji do baraków".

Skoro do tego dodamy znane już opisy brutalności w barakach a szczególnie w Kosaczowie opisane w 1929 r. w „Panteonie Polskim" przez p. Sozańską i innych — wtedy będziemy mieli obraz tego — co się działo w 1918 i 1919 r. na naszej ziemi. (Z.)

JERZY BIAŁY-HOJARCZYK.

Z pamiętnika Legjonisty.

W latach niewoli opowiadanie matki o złotych czasach Polski, o Jej chwale — budziło w dziecięcych sercach pragnienie powrotu tych dni. Umysły takie, wzrastając z cudnych powieści Sienkiewicza, utworów wieszczów narodowych, czerpały bohaterstwo, które z biegiem lat potęgowało się i szukało ujścia w czynach. I gdy znalazł się człowiek, który potrafił tęsknotę młodocianych serc polskich pobudzić do realnej pracy i mgliste marzenia zakląć w hasło walki o byt państwowy, stał się ich wzorem i uosobieniem żywotnej polskości, która nie godząc się z rozdarciem Ojczyzny, szukała dróg do wywalczenia niepodległości.

Człowiekiem tym był Komendant Główny Związku Strzeleckiego — Józef Piłsudski.

On jeden śmiało podjął myśl wskrzeszenia państwowości polskiej, a mając w pamięci smutne wspomnienia z powstania 1863 roku, zdawał sobie sprawę, że nie wystarczy sam zapał, nie wystarczy poświęcenie, — że w czasach, kiedy każde państwo rozporządza świetnie zorganizowanemi i wyszkolonemi armjami, wyposażonemi w rozliczny sprzęt bojowy, trzeba do zapału i poświęcenia dodać organizację, wyszkolenie i sprzęt, a wszystko zaprawić karnością i posłuszeństwem.

To też skutki Jego poczynań niedługo dały się poznać. Wśród młodzieży małopolskiej chodziły tajemnicze, prawie legendarne opowiadania o Człowieku, który poświęcił całe swoje życie, wszystkie siły, jednej myśli: przygotowaniu jednego czynu — walki o wolność narodu.

GENEZA ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W WIELICZCE.

Idea taka zgromadziła w dniu 6 grudnia 1912 roku w Wieliczce młodzieńców, słuchaczy prawa: Szpunara Bolesława, Stankiewicza Marjana, Pallana Zygmunta i Hojarczyka Jerzego, którym przysłany przez Komendę Zw. Strzel. Okręgu Krakowskiego obywatel Wicz (obecny gen. Stachiewicz) w gorących słowach wyjaśnił plan i zakres działania Związku Strzeleckiego, oraz sposób zjednywania członków, odebrał ślubowanie na wierność i posłuszeństwo władzom przełożonym i polecił zorganizować towarzystwo „Związek Strzelecki w Wieliczce".

Z uwagi na tajność prac, członkowie Związku mieli posługiwać się pseudonimami. Obecni obrali sobie następujące: Pallan Zygmunt — Marjusz: Szpunar Bolesław — Bolek: Stankiewicz Marjan — Gabryel; Hojarczyk Jerzy — Biały.

Komendantem Zw. Strzel. w Wieliczce został naznaczony obywatel Marjusz. W pracy organizacyjnej czołowe miejsce zajął obywatel Bolek, który posiadając wzięcie i popularność wśród sfer robotniczych, w krótkim czasie dostarczył Związkowi kilkudziesięciu członków. Biały z Gabryelem jednali strzelców wśród młodzieży uniwersyteckiej i szkół średnich, Marjusz wśród sfer nauczycielskich i urzędniczych. Już w pierwszych miesiącach 1913 roku Związek liczył ponad 100-u członków, a niebawem wzrósł do 160-ciu członków ćwiczących, co na miasto 7-mio tysiączne było ilością znaczną. Wszyscy nowicjusze przechodzili szkołę rekrucką, po ukończeniu której zdolniejsi byli przyjmowani do szkoły podchorążych.

Trzy razy w tygodniu stale odbywały się ćwiczenia i wykłady, z tego w niedzielę ćwiczenia półdniowe, lub całodniowe.

W 1913 r. komendę Zw. Strzel. w Wieliczce objął Świątkowski Bronisław.

O ile praca organizacyjna i wyszkoleniowa w Wieliczce postępowała raźno i sprawnie, o tyle na szerokim terenie wsi powiatu wielickiego zaledwie wegetowała. Małe uświadomienie ludu wiejskiego, kompletny brak środków lokomocji, dostatecznej ilości karabinów i sprzętu wyszkolenia, utrudniały pracę w wysokim stopniu. Nie zrażało to jednak organizatorów. W niedziele i święta wychodzili razem parami do okolicznych wsi organizować Związki Strzeleckie i prowadzić tam ćwiczenia. Nie zrażała ich ani zła i daleka droga, którą przebywali piechotą, często wśród deszczu i błota, ani niechęć nierzadko spotykana wśród starszych wieśniaków, ani brak dostatecznej ilości karabinów. Nie mieli szerszego poparcia społeczeństwa, ani środków materjalnych, ale towarzyszył im zapał. A chociaż było ich niewielu: Szpunar Bolesław, Szpunar Mieczysław, Pallan, Stankiewicz, Hojarczyk, Góralik, Rutkowicz, to jednak powoli łamali przesądy panujące po wsiach, siejąc tam polskość i nadzieję lepszego jutra.

Środki materjalne czerpał Zw. Strzel. z wkładek członków i imprez dochodowych, urządzanych staraniem strzelców.

Komisarzem Polskiego Skarbu Wojskowego na powiat Wieliczka ustanowiony został Hojarczyk Jerzy, który zebrane pieniądze wpłacał skarbnikowi głównemu obywatelowi Sławkowi.

Przed wojną Związek Strzelecki w Wieliczce cieszył się ogólną sympatją społeczeństwa miejscowego, wzorowem zachowaniem się, wytrwałą pracą zyskując zwolenników i sympatyków, zwłaszcza od czasu, gdy komendantem lokalnym został naznaczony Szpunar Bolesław, który systematycznie i nieprzerwanie prowadził pracę w Związku

Strzeleckim. Nieskazitelny i piękny jego charakter, przy niezwykłej pracowitości i zdolnościach, zyskiwał mu powszechne uznanie nawet wśród wrogów politycznych. Świetlana postać Szpunara powinna być zapisana złotemi zgłoskami w historji Wieliczki. Szczycę się jego przyjaźnią i błogosławię los, który pozwolił mi razem z nim, od wczesnej młodości pracować, — czy to w organizacji młodzieży szkół średnich, czy też później wśród sfer robotniczych, niosąc tam kulturę i zamiłowanie do polskości, a bohaterska śmierć jego na polach Łowczówka, gdzie pluton wielicki skrwawił się w morderczym szturmie, osłaniając odwrót 3-go bataljonu — stała się koroną ofiarnego życia tego nieustraszonego bojownika za wolność uciemiężonych. Armja polska poniosła niepowetowaną szkodę, tracąc młodego dowódcę kompanji, rokującego świetne nadzieje na przyszłość.

ROK 1914.

Pamiętne pierwsze dni sierpnia 1914 r. skrzepiły w sercach strzelców dawno piastowane nadzieje wskrzeszenia wojska polskiego, w którego poczynaniach wezmą udział już nie jako czytelnicy historji powstań i walk o niepodległość, nie jako marzyciele, zatracający się w snach o bohaterskich czynach, lecz jako żołnierze, którzy w zaczynającą się zawieruchę wojny światowej rzucą imię „Polska", a które pracą, trudem, niewzruszonem męstwem i wytrwałością będą się starali utrwalić na kartach historji świata.

Wojna to straszna rzecz, to coś nieznanego, coś niepewnego, coś, co w potężnym trudzie marszu, wśród śpiekoty i słoty, wśród głodu i pragnienia, niesie w poświście kul jęk rannych lub konających — lecz również to coś, co w szarzyznę życia niewoli rzuca nieogarnięte możliwości dla zdobycia wolności przyszłym pokoleniom. I to napawało strzelców radością. Idą walczyć nie za interesy zaborców, - którzy ujarzmionemu narodowi każą płacić daninę krwi, lecz przeciwnie, by zrzucić z siebie nietylko ten nakaz, lecz powołać do życia własne państwo. I jasno maluje nastroje ówczesnych strzelców pieśń: „Naprzód, Drużyno Strzelecka!"

— — — — — — — — —

„Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć!"

Nic więc dziwnego, że nie wahano się, nie oglądano, lecz z niecierpliwością oczekiwano rozkazu.

MOBILIZACJA.

Rozkaz mobilizacyjny Związek Strzel. w Wieliczce otrzymał w dniu 7 sierpnia o godz. 9-ej rano z Komendy Okręgu Krakowskiego. Komendant Zw. Strzel., Szpunar Bolesław, bezzwłocznie podał go do wiadomości komendantom sekcyj: 1-ej Hojarczykowi Jerzemu, 2-ej Szpunarowi Mieczysławowi, 3-ej Stankiewiczowi Marjanowi, 4-ej Stachowiczowi Gustawowi, którzy rozkaz roznieśli wśród strzelców.

O godzinie 4-ej popołudniu oddział Związku Strzeleckiego Wieliczka w sile 60-ciu strzelców i 4-ch strzelczyń stanął gotowy do wymarszu przed lokalem Związku przy ul. Niepołomskiej. Połowa strzelców miała mundury i plecaki, reszta w ubraniach uczniowskich i robotniczych. Było 15 karabinów, w tem 12 Manlichera, reszta Verndla. Przed wyruszającymi na wojnę kołysał się tłum matek i sióstr, wśród płaczu przesyłając ostatnie słowa tkliwych pożegnań i przestróg swym drogim chłopcom. Padły słowa komendy i oddział czwórkami ruszył w stronę Krakowa.

Miasto jednak nie wypuściło swych dzieci bez pożegnania. Przed ratuszem oczekiwało ich kilkaset osób, zastęp miejscowego Sokoła i muzyka górników. Prezes Sokoła, notarjusz Winter, imieniem miasta życzył wyruszającym powodzenia i szczęśliwego powrotu, a sekretarz Rady Powiatowej, Szczepański, zebrane naprędce stokilkadziesiąt koron wręczył na pierwsze potrzeby oddziału. Obywatel Szpunar krótko pożegnał obecnych, a mowę zakończył, zwracając się do sokołów, słowami: „Z wami, druhowie, nie żegnam się, bo wiem, że spotkamy się tam, gdzie miejsce każdego prawego Polaka, na polach pod Warszawą". Na ruszających strzelców posypały się kwiaty, muzyka zagrała starą piosenkę „Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały", niejedno liczko zwilżyło się łzami, a oni szli szosą do Krakowa, żegnając ludzi i miejsce, gdzie upłynęły im pierwsze dni młodości, a których wielu z nich nie miało oglądać już nigdy. Przed nimi szarzała droga, kładąc się falistą wstęgą na pagórkach Podkarpacia.

Wieczorem oddział wielicki stanął w Krakowie w „Oleandrach", gdzie brać strzelecka przy ogniskach, w płomieniach wesoło trzaskających, upatrywała jasnych dni chwały. Świt łagodnego sierpniowego poranku zastał ich śpiących na trawniku „Oleandrów".

(C. d. n.)

KREIS JÓZEF.

Wojsko Polskie we Wschodniej Rosji i Syberji

Po bitwie pod Tajgą pułkownik Czuma polecił oddziałom zaopatrzyć się w sanki i uzupełnić konie, by dalszy odwrót odbywać drogą jezdną. Niestey rozkaz był już niewykonalny, albowiem kołczakowcy zarekwirowali wyprzedziwszy nas, wszystkie konie i sanki jakie tylko mogli znaleść

w pasie 30 wiorstowym po obu stronach magistrali. Odwrót piechotą wśród głębokiej zimy, przez dzikie stepy, ogołocone z żywności, zarażone tyfusem, wśród ciągłych walk ze ścigającą armją bolszewicką, byłby szaleństwem. Groził bezwzględną zagładą. Ratunkiem dla Polskiej Dywizji mogła być tylko walna bitwa, ale dowództwo sowieckie po lekcji pod Tajgą unikało jej starannie, okrążając z dala polskie transporty i wyczekując dogodnej chwili dla siebie. Rozpoczął się teraz odwrót, który był wprost Golgotą dywizji. Transporty o ile zastały na stacji jakiś wolny tor, to napewno nie zastały garstki węgla lub popsute celowo i rozmyślnie pompy wodne i zwrotnice. Czeskie załogi poszczególnych stacji prawie każdy punkt przekazywały nam z opóźnieniem, przeważnie ogołocony z opału, zawalony wagonami. Często bardzo opuszczali stację na kilka lub kilkanaście godzin wcześniej jak było omówione, w tym celu by mogli gospodarzyć tam powstańcy. Był to piekielny odwrót, pełen nieprzespanych nocy, ciągłych alarmów, troski o opał i wodę, wyczerpał więc on ze sił tak oficera jak żołnierza. W dodatku wybuchł tyfus plamisty zawleczony przez kołczakowców. Daremnie płk. Czuma prosił generała Janina o przyśpieszenie ruchu wojsk czeskich lub gdy to niemożliwe, o przepuszczenie dywizji, by mogła uporządkować się i odpocząć. Czechosłowackie dowództwo zawarłszy umowę z lewicowemi partjami rosyjskiemi i wymówiwszy posłuszeństwo generałowi Janin, metodycznie przeprowadzało swoją ewakuację nie dbając zupełnie o nas. Aby mieć jakiś zastaw w ręku, zaaresztowało admirała Kołczaka. Irkuck roił się od czeskich wojsk, a mimoto dowódca oddziału bolszewickiego Karandaszwilli atakował przez szereg tygodni wierną Kołczakowi załogę. Dowódca rzekomych eserów Kałasnikow i Tobelsohn — Krasnoszczekow, swoją bezszczelność posunęli do tego stopnia, iż zażądali od gen. Janin, by w ciągu kilku godzin wyniósł się ze stacji irkuckiej — Głazkowa wraz z misjami koaljanckiemi. I gdyby nie pomoc japońska, prawdopodobnie misje wraz z generałem Janin byłyby powędrowały do „czerezwyczajki", a może nawet pod „stienku". Niestety dzięki japońskiemu bataljonowi piechoty to się nie stało. — Może byłyby się wreszcie dowiedział świat, kto to są czesi. Dnia 29/12 1919 roku z rozkazu generała Janin wyjechała z Irkucka rumuńską pancerką, grupa francuskich oficerów z majorem sztabu generalnego Goux. Miała to być pomoc dla polskiej dywizji. Misja ta nie dojechała do dywizji, gdyż dowiedziawszy się o wypadkach pod Krasnojarskiem, ze stacji Kamerczaga zawróciła z powrotem. Eszelony czeskie przyśpieszyły trochę. Wszystko to wróżyło coś złego.

Dnia 7 stycznia 1920 r. udało się czerwonym otoczyć i odciąć naszą straż tylną na stacji Bagacz. Dowódca jej major Werner, nakazał wyładowanie oddziałów i wydał rozkaz do boju. Nieszczęście chciało, że przy straży tylnej znajdował się pułkownik Boldok, który na podstawie niesprawdzonych pogłosek iż dywizja zawarła zawieszenie broni z czerwonymi, odradzał majorowi Wernerowi rozpoczynać walkę. Łudził się na prawdopodobnie tem, że wydostanie się z matni, umożliwią polakom oddziały generałów Wojciechowskiego i Kappela, które również były odcięte i otoczone. Nieszczęście chciało, że major Werner znany służbista, uległ perswazjom starszego i wydane rozkazy cofnął. Wojciechowski i Kappel zwycięsko przebili się, zaś polska tylna straż na skutek swej bierności naraziła się na to, że powstańcy rozebrali bezkarnie kilka km toru. Straż tylna kapitulowała. Major Werner natychmiast zbiegł do Polski, gdzie na polu bitwy znalazł rycerską śmierć. W owym czasie czoło dywizji stało pod stacją Klukwiennaja o 150 km. od miejsca katastrofy, tył o godzinie 16 tegoż dnia opuścił Krasnojarsk. Z pomocą, pośpieszyły dwa pociągi pancerne lecz nic nie wskórały. Rozebrany tor uniemożliwił akcję. Był to początek katastrofy. Z Krasnojarska wyjechała dywizja po obu torach, mając ograniczone zapasy paliwa. Pod Klukwienną zatrzymali ją czesi głosząc iż stacja zawalona 17 trasportami ich wojsk bez lokomotyw. Był to fałsz. Na stacji stało zaledwie z 10 transportów, ale dalej stacje były puste aż do Tajszetu, gdzie w wagonach stało 2 — 3 transporty wojsk rumuńskich, a następnie dopiero na stacji Niżni Udyńsk stało trzy transporty admirała Kołczaka i 4 — 5 czeskich. Były jednak tak w Tajszecie jak i w Niżni Udyńsku lokomotywy, zatem można było je uruchomić i przepuścić polską dywizję. Transporty polskie, jadące po obu torach, musiały się zatrzymać. Po kilkunastu godzinach postoju wśród trzaskającego mrozu, zapasy paliwa wypaliły się, a lokomotywy pozamarzały. Pod Klukwienną wyłoniła się sytuacja następująca:

Potrzeba było albo uderzyć na czechów i siłą wymusić sobie przejazd albo piechotą maszerować na Krasnojarsk, pokonać warunki atmosferyczne i terenowe i przestrzeń a następnie pobić gruntownie bolszewików, względnie marszem pieszym dążyć na wschód. Żadna z tych ewentualności nie była możliwą, albowiem dywizja ściśnięta w dolinie trasy kolejowej, rozrzucona na niej wzdłuż kilkudziesięciu kilometrów, otoczona zewsząd partyzantami i wojskami sowieckiemi, nie miała możności do rozwinięcia się tak do akcji na wschód jak na zachód. Marsz pieszy na wschód groził dywizji bezwzględną zagładą od mrozu, głodu, tyfusu i uderzeń bolszewickich. Pozostały jeszcze pertraktacje z generałem Janin i generałem Syrowym, względnie kapitulacja. Pułkownik Czuma wraz z francuskim kapitanem udał się na stację „Kluk-

wiennaja", poprosił do aparatu generała Janina i przedstawił mu sytuację, domagając się pomocy z jego strony. Dowódca armji odmówił kategorycznie jakiejkolwiek pomocy. Generał Syrowy nie zgodził się nawet na przepuszczenie kilku naszych pociągów z rannymi i chorymi, z kobietami i dziećmi oraz z ewakuowaną ludnością polską. Zapomniał generał Syrowy jak w listopadzie 1918 roku dywizja generała Czeczeka, otoczona przez sowieckie wojska na Powołżu, ostatkiem sił wytrzymywała napór czerwonych. Wśród trzaskającego mrozu, źle zaopatrzona, na tatarskich sankach, szła jej na ratunek polska grupa płka Rumszy. Błyskawiczny manewr i brawurowe natarcie polaków, pewną klęskę zmieniły w piękne zwycięstwo. W niecałych 14 miesięcy poźniej, zmieniły się role. Dowódcy polscy prosili o pomoc, której generał Syrowy odmówił bezwzględnie. Pozostała jeszcze jedna alternatywa — siłą wymusić sobie przejazd, jak projektowali to nasi oficerowie z czołowych oddziałów. Było to szaleństwo stwarzać sobie jeszcze jednego silnego i bezwzględnego wroga. Z walki polsko-czeskiej byliby niewątpliwie skorzystali bolszewicy, a wzięci we dwa ognie bylibyśmy zostali wycięci w pień. Mnęła straszna noc z 9 na 10 stycznia. Rano komisarz wojenny 5. bolszewickiej armji telegraficznie zaproponował układy w sprawie złożenia broni. Pułkownik Czuma po naradzie z wyższemi oficerami, wysłał parlamentarjuszy do Krasnojarska, gdzie stał już sztab 5. sow. armji.

Równocześnie dywizje 5. armji rozpoczęły likwidację polskiej dywizji. Ostatni akt tragedji sybirvskiej dywizji dobiegł końca. W tych warunkach bez możności rozwinięcia dywizji, bez wyładowania artylerji, nie można było nawet marzyć o przyjęciu walki. Kapitulacja na stosunkowo honorowych warunkach, stała się koniecznością.

Czy mogli nam czesi pomóc bez ryzyka ze swej strony? Bezwzględnie tak! Ich korpus liczył w sumie około 60.000 ludzi, z tego w tym czasie najmniej 1/3 część była już na obszarach obsadzonych przez 200 tysięcy japończyków i 30 tysięcy amerykanów, była zatem zupełnie bezpieczna. Pozostała reszta około 35.000 żołnierzy, była rozrzucona mniej więcej następująco: gros na wschód od stacji Zima aż po Wierzchnieudyńsk, z główne: skupieniem w Irkucku, zaś reszta t. j. prawie cała 3 dywizja od stacji Klukwiennaja aż po stację Zima mniej więcej. Wojska te były zgrupowane w silniejsze lub słabsze grupy, zależnie od zadań, jakie miały do wykonania. Zajmowały one 350 transportowych pociągów, czyli w jednym eszelonie jechało najwyżej 150—200 żołnierzy. Reszta, były to eszelony intendenckie, pełne sprzętu, oporządzenia, żywności, a nawet wełny, cyny, cynku, miedzi i e. t. c. oraz węgla. Sytuacja wojenna nakazywała albo przepuścić polską dywizję przez węzeł krasnojarski w najszybszem tempie, aby ta w rejonie stacyj Niżniudyńsk — Zima uporządkowała swe eszelony, i już jako wypoczętej nakazać obsadzić węzeł irkucki, albo 3 czeską dywziję ścieśnić do tego stopnia w wagonach, aby na eszelon wypadł nie mniej jeden baon lub dyon wraz z taborem i bagażem, resztę lokomotyw i węgla oddać polakom jako park odwodowy, a przedewszystkiem odskoczyć pełną parą w rejon węzła irkuckiego t. j. na wschód od stacji Niżniudyńsk, w tym celu by polska dywizja mogła również pełną parą oderwać się od npla. W ten sposób zorganizowany odwrót, umożliwiał i nam i czechom względnie pewny i spokojny odwrót, gdyż pozwalał posuwać się transportom z dzienną szybkością do 80 wiorst. Wobec szalonego przemęczenia jednostek 3. sow. armji, wobec przeszkody naturalnej w postaci puszczy leśnej ciągnącej się na wschód od Krasnojarska na przestrzeni 200—300 wiorst po obu stronach linji kolejowej, pod koniec pierwszego tygodnia polska dywizja byłaby odskoczyła od wojsk sowieckich i kolczakowskich na 300—400 wiorst, co w zupełności wystarczało na uporządkowanie i przegrupowanie naszych sił. Bali się czesi, że pomiędzy dowództwem polskiem, a Kołczakiem istnieje umowa, na podstawie której, dywizja nasza zamierza opanować leżące na wschód od Irkucka tunele, uszkodzić je, i w ten sposób zmusić ich do walki z sowiecką armją.

Nonsens tej koncepcji jest tak widoczny, tak wyraźny, że udowadniać tego nie potrzeba. Ostatecznie bez szkody dla siebie mogło dowództwo czeskie zgodzić się na ścieśnienie do maksimum swej 3 dywizji i mogło bez szkody dla siebie lojalnie z nami współdziałać.

Szło tu jednak o dziesiątki wagonów, a może nawet pociągów, miedzi, cyny, cynku, wełny, srebra, tytoniu, pszenicy, masła i wiele innego dobra, wyduszonego za dwa lata panowania z Syberji, a na to porzucenie bodaj części tych skarbów, nie mogła się zdobyć zachłanna czeska dusza, to było ponad jej siły.

Aby umożliwić sobie wyjazd i zapewnić ewakuację tych skarbów, wolała rzucić na pożarcie sowieckiej bestji polską dywizję i amirała Kołczaka.

Ostatnia formacja polska, zorganizowana na ziemi polskiego męczeństwa licząca 12.000 żołnierzy, zakończyła tragicznie swoje istnienie, zamykając na zawsze na zaśnieżonych stepach pod Klukwienną, ostatnią kartę w historji tułactwa polskiego żołnierza. Padła ale nie przez wroga pokonana, lecz zżarta przez nadludzkie trudy, dobita przez czechofilską politykę generała Janin i zdradę „braci-słowian" z nad Wełtawy. Kiedy uratować nas mógł tylko szybki, pełną parą prowadzony przez czechów odwrót, kiedy pułkownik Czuma oto tylko prosił, wtedy dowódca armji ra-

dził mu zawrzeć pokój czy coś podobnego z 3. sowiecką armją. 54 dni trwał ten odwrót, tak w skutkach podobny do odwrotu z pod Moskwy. W czasie tym dywizja przejechała zaledwie nie cały tysiąc wiorst, będąc od samej Tajgi ustawicznie hamowaną przez powolny ruch czeskich transportów. Na wszelkie prośby płka Czumy dowódca armji był głuchy, miał tylko dużo rad, które były przeważnie już nieaktualne, zanim doszły do rąk polskiego dowódcy. 3-ta syberyjska dywizja W. P. przeszła zwycięsko przeszło 4.000 km choć często o głodzie, mogiłami usiała przestrzeń od Wołgi do Jenisiej, nawet u wrogów budząc uznanie dla swego ofiarnego męstwa. Zginęła w zapamiętałym wyścigu do zbawczego oceanu pokonując dzielnie trudy, jakich w historji świata nie miały do pokonania żadne inne wojska. Przez 54 dni, bez węgla, a często i bez wody, mając npla nietylko z tyłu ale i z boków, często bardzo nawet z przodu, mimo sabotażu ze strony rosyjskich kolejarzy i czeskich wojsk, z poświęceniem i bohaterstwem, wypełniała lojalnie zadanie włożone na nią przez dowódcę armji. Honoru Polaków nie splamiła, sama zginęła po nadludzkich trudach ale armji koalicyjnej umożliwiła spokojny odwrót. To fakt niezaprzeczalny.

Nie rzucam oskarżeń gołosłownych, tendencyjnych. Opisuję tylko to, na co patrzyłem, co przeżyłem. Dnia 8 grudnia 1919 roku, z rozkazu dowódcy W. P. znalazłem się w Irkucku, skąd 31 grudnia wyjechałem na zachód i do dywizji dołączyłem dnia 9 stycznia 1920 roku rano. Byłem właśnie tym oficerem polskim, który otrzymał w Irkucku, od generała Artamonowa szereg raportów i dokumentów dyplomatycznych celem doręczenia nieszczęsnemu admirałowi Kołczakowi podówczas uwięzionemu przez czechów na stacji Niżni udyńsk. Pomimo straży dostałem się do wozu Kołczaka o późnej nocnej godzinie i zadanie moje wykonałem. Zrobiłem to nie z rozkazu, bo tego mi nikt nie dał, zrobiłem to dlatego, że proszono mię oto, że uważałem to ponadto za obowiązek wobec tych, z którymi w 1918 roku razem walczyłem przeciw wspólnemu wrogowi. Znanem mi jest ponadto jeszcze dzieło generał-lejtnanta armji Kołczaka Sakharowa W. K. p. t. „Legjony czeskie w Syberji". Nie korzystam z niego, nie dokumentuję swoich opowiadań faktami zawartemi w tej książce opisanej pod wpływem bolu stuprocentowego panslawisty, krwią i łzami. Sakharow bez ogródek stwierdza, że wypadki syberyjskie były tragedją panslawizmu i rosyjskiej demokracji i inteligencji, do której wydatnie przysłużyli się czesi.

Pamiętnik Sakharowa to straszliwy akt oskarżenia przeciw czeskiej Radzie Narodowej i jej rosyjskim legjonom, to dzieło, które powinni poznać gruntownie wszyscy Słowianie, Francuzi, Anglicy i Amerykanie. Tragedja polskiej dywizji, to jeden więcej przyczynek do tych zarzutów, to pomnik hańby dla generała Syrowego, jego politycznych doradców i dowódcy 3 czeskiej dywizji płka Perkali.

(C. d. n.)

MAJ A.

Z Drugą Brygadą

Po przybyciu do Rökomezo dostaliśmy fasunek sucharów i słoniny. Stan w kompanjach zmniejszał się, zaległości bywały kilkudniowe ztąd czasem dostawało się zwiększone porcje. Byliśmy już teraz na etacie austrj. Jeżeli przed nami był marsz długi, do tego w góry, to żołnierze niechętnie brali fasunek kilkudniowy. Toteż jeżeli był kto za wygodny, i pozbył się części fasunku, to mu dokuczył nieraz głód.

Do naszego dowództwa zgłosił się żandarm austrjacki, prosił o pomoc w wyprawie do Tiuszki po kasę pocztową. Twierdził że wie, gdzie są pieniądze ukryte. Kompanja nasza dała kilkunastu ludzi ze strszym leg. Lisem na czele. Patrol wyruszył zaraz w nocy.

Następnego dnia cały bataljon udał się na górę. Droga wynosiła niespełna 11 km, którą przebyliśmy w sześciu godzinach. Na szczycie góry, ścieżka rozwidlała się na dwoje. Obie jednak prowadziły do Tiuszki.

Usadowiliśmy się po prawej stronie, mając ze sobą dwie armatki. Zadanie nasze było następujące: Grupa Zielińskiego, zaatakuje pod Ökömezo moskali. W razie powodzenia ataku posuwać się będzie szybko naprzód, by odciąć im drogę powrotną do Galicji. Wobec tego, moskale zmuszeni będą cofać się w innym kierunku, w czem im mamy przeszkodzić. W linji powietrznej oddaleni byliśmy od tamtejszej grupy z pod Ökermezo około cztery mile.

Łączność do wsi Rökomezo utrzymywaliśmy zapomocą sztafet. Pobyt na górze trwał trzy dni.

W dzień siedzieliśmy cicho na jednem miejscu nie zdradzając się. W nocy zaś schodziliśmy trochę pod górę na stroną południową, to jest ku Rökomezo, tam rozpalaliśmy małe ognie dla ugoto-

wania kawy lub herbaty w menażkach. O wodę było ciężko. topiliśmy śnieg, lub zapuszczali się w urwiska. O drzewo było łatwiej bo cała góra była lasem porosła, ale były to same buki, które w stanie surowym a których zwłaszcza cienkie gałęzie zupełnie palić się niechcą. Od gryzącego kwaśnego dymu i dmuchania w ogień puchły wargi, oczy czerwieniały, jak przy egipskiem zapaleniu. Na domiar biedy, puścił się deszcz ze śniegiem w drugim dniu.

Drugiego dnia odgłos bitwy z pod Ökormezo, zdawał się przybliżyć. Na trzeci dzień jednak się przytłumił. Ofenzywa załamała się.

Zeszliśmy na dół, na górze pozostała tylko placówka. Po jednodniowym odpoczynku we wsi, udaliśmy się powtórnie na Prislop. Szły obadwa bataljony. Wieczorem, gdy zmierzch zapadał, zaatakowaliśmy gwałtownie Tiuszkę i po krótkiej strzelaninie zajęliśmy całą wieś. Moskale uciekli w popłochu. Januszajtis w czasie natarcia z dwóch mauzerów markował karabin maszynowy.

Noc przepędziliśmy z karabinem w ręku, siedząc w chałupach, obstawieni placówkami. Prócz tego wysyłano patrole. Powracające patrole donosiły o przygotowaniach moskali do odwetu.

O brzasku dnia dostałem rozkaz udania się z czteroma żołnierzami na patrol. Po oddaleniu się od chałup, wydrapaliśmy się na pagórek porosły jałowcem. Przed nami o jakie sto kroków widzieliśmy żołnierzy idących w stronę przeciwną od nas. Zmrok nie dozwalał nam rozróżnić mundurów. Stanęliśmy i zaczęli ich liczyć dość głośno. Wtem padła salwa, potem zaraz druga i to tak blisko, że nie było słychać świstu kul. Po drugiej salwie zorjentowaliśmy się, że to moskale, którzy z przeciwnej strony pagórka wdrapywali się na ten sam wierzchołek, co i my. Tamci zaś, których widzieliśmy, przypadli do ziemi.

Nasi wypadli z chałup i zaczęli prażyć po całym pagórku. My zaś rwaliśmy co sił w dół, szukając osłony brzegiem drobnego strumyka. Bitwa zawrzała na całej linji.

Po odparciu pierwszego ataku, strzelanina nieco osłabła. Przyszedł rozkaz z baonu liczyć się z nabojami. Zapasowa amunicja była jeszcze po drugiej stronie Prislopu. Przed bitwą żołnierze mieli przeciętnie po dwieście pięćdziesiąt naboi.

Moskale jednak nie ustępowali. Widać było przesuwanie się na lewe nasze skrzydło. Poszła tam nasza ósma kompanja (dawna dwunastka drugiego pułku) i salwami bijąc, powstrzymywała oskrzydlenie.

Przy naszem przesunięciu się na lepsze stanowisko, mieliśmy kilku rannych.

Po południu moskale stali się natarczywsi. Strzelali gęściej i podsuwali się, natomiast u nas naboje wyczerpywały się.

Kompanja ósma rzadziej biła salwy, a wreszcie umilkła. Sytuacja pogarszała się. Ze względu n rozciągłość frontu, ścisłej łączności między kompanjami nie było. Dowódca naszej kompanji w dniu tym prowadził bataljon w zastępstwie. Chorąży Struzik oddalił się, prawdopodobnie do dowódcy bataljonu. Z pozostałych, najstarszy stopniem w kompanji był podchorąży Borelowski. Ale ten był pierwszy raz w bitwie — przybył z taboru — i w sytuacji zupełnie się nie orjentował.

W chwili, gdy spostrzegliśmy się, że komp. ósma już się wycofała, na prawem skrzydle odgłos walki pierwszego bataljonu przycichł. Należało teraz wydać jakieś rozkazy. Plutonowy Tomalik obawiał się odpowiedzialności i nie chciał wydać rozkazu do odwrotu. Odwoływał się do mnie. Nie było dużo czasu do namysłu; dałem rozkaz skrajnym plutonom cofać się do linji płotu, stamtąd strzelać, by ułatwić cofanie się środkowi kompanji. Czwarty pluton z kapralem Czulakiem wykonał to całkowicie.

Przez cały ten czas pluton trzeci strzelał. Ostatnie magazynki szły do karabinów. „W tył zwrot!". Dopadamy tamtych; w tej chwili dobiega żołnierz wysłany z innej kompanji: Co wy tu jeszcze robicie, wszystkie kompanje cofają się...

Moskale wciąż strzelają i biorą Tiuszkę. Z bagnetem na broni cofamy się wśród chałup, przechodzimy rzeczkę, płoty i różne przeszkody.

Przed nami leży skrzynia naboi i worek z chlebem. Rozrywamy bagnetami, zabieramy co kto może. Tu znów jeden legjonista nawdział na bagnet połeć słoniny i niesie na plecach, inni obrzynają po kawałku, wreszcie rzuca resztę na ziemię. Wszystko to dzieje się pod ogniem karabinowym.

W ostatniej chwili przed cofaniem się, na jukach przywieźli dla nas żywność i amunicję. Koniarz nie zdołał oddać na miejsce przeznaczenia, zrzucił wszystko i uciekł z koniem.

W drodze ucieczki na Prisłop pomieszaliśmy się z pierwszym bataljonem. Żołnierze tegoż baonu dziwili się, żeśmy bez użycia bagnetów zdołali wyjść ze wsi, gdy tymczasem oni wśród chałup się kłuli.

Pościg dalszy ustał. Noc zapadła. Na szczycie kompanje robiły zbiórkę. Straty mieliśmy nieduże. Powróciliśmy do Rokomezo, na górze pozostała jedna kompanja jako placówka.

Dnia 21 grudnia atakowaliśmy powtórnie Tiuszkę. Moskale wycofali się do okopów pod drugą wsią. 22-go i 23-go był dalszy ciąg bitwy. Szturmem nasi wzięli okopy i dużo jeńców. W ataku odznaczyła się nasza kompanja, którą prowadził Czuma. Straty w rannych były duże. Zaginął podchorąży Borelowski.

24 grudnia moskale zajęli napowrót okopy. W wieczów Wigilijny patrol naszej kompanji łamał się sucharem przy krzaku jałowca, dzięki pamięci st. legj. Andrzeja Wróbla. Opodal leżały

zwłoki legjonisty Jońskiego, którego sanitarjusze mieli pogrzebać, a jednak go zostawili.

Placówki odpierały napady. Kompanje w pogotowiu marszowem stały w chałupach. W jednej z chałup przypadkowo postrzelił się w rękę legjonista z naszej kompanji.

Nad ranem opuściliśmy Tiuszkę. Moskale na kolendę posłali nam kilkanaście szrapneli. Zatrzymaliśmy się znów na Prisłopie.

Ponieważ moskale nie kusili się o przejście przez górę, popołudniu, po rozdaniu podarków świątecznych, tu nam przysłanych, pozostawiono kompanję jako placówkę, reszta zeszła do Rökamezo.

Podarunki przysłane były z Węgier i z kraju. Od armji austr. również były podarunki w liczbie 42 pakietów na cały bataljon. Może przypuszczali, że nas tyle pozostało po bitwach. Prócz tego fasowaliśmy rum.

Kompanja, która pozostała na placówce, była zebrana z tak zwanych „łazików", t. j. tych, którzy nie brali udziału we wszystkich bitwach w tych dniach. Niektórzy z nich odprowadzali jeńców, inni zwolnieni byli od lekarza, lub samowolnie przedłużyli sobie pobyt poza kompanją przy powierzonych im czynnościach. Nazbierało się tych ponad czterdziestu. Oficera dała kompanja szósta.

Placówki wystawili dwie, w liczbie po sześciu żołnierzy i jednego komendanta. Reszta jako rezerwa siedziała w szałasie skleconym z gałęzi, przy ogniu. Zadaniem wedet było w razie podejścia patroli usunąć się ze ścieżki, po przejściu tejże odwrócić się i razem z placówką brać żywcem patrol. Na wypadek zbliżenia się silniejszego oddziału i zaatakowania — strzelać.

Strzały na placówkach były zwykle alarmem dla kompanji na kwaterach. To też strzały dla błahej przyczyny były zakazane. Obejście placówek na tej pozycji było niemożliwe.

W nocy podszedł rosyjski patrol na placówkę Nr. 2, to znaczyło przejście po lewej stronie. Wedety w myśl instrukcji, patrol przepuściły. Placówka zaś zasnęła w krzakach, o niczem nie wiedząc. Moskale doszli do rezerwy placówek i spłoszeni zawrócili. Teraz powracających spostrzegła placówka. W pierwszej chwili przypuszczali, że moskale po zniesieniu placówki Nr. 1 bez strzału, zachodzą ich już od tyły. Wedety jednak wiedziały co się święci i cały patrol wzięły w niewolę. Tym sposobem mimo niedbalstwa, zarobili na pochwałę.

Następne dni kolejno kompanje chodziły na Prisłop. Bataljon został tak podzielony, że służba na nas wypadała co trzeci dzień. Stan kompanji zmniejszył się do liczby ponad osiemdziesiąt ludzi.

W Sylwestra objęliśmy służbę po komp. ósmej. Żołnierze z tej komp. przechwalali się, że chodzili na patrol do Tiuszki i tam we wsi nakupili jajek. I opowiadali, że moskali tam niema, dochodzą tylko patrole. Niebardzo chcieliśmy w to wierzyć, ale ale sam Dziekanowski nadrabiał miną. Wobec tego zakasowali nas.

Niektórzy z naszych wyrażali się „tam są morusy" i przypominali, jakto w Jasieniowie na patroli Wałęga dzielnie się spisał i powrócił z ludźmi, choć uważaliśmy ich za przepadłych. Dowódca bataljonu życzył sobie chociaż jednego moskala, z powinszowaniem Nowego Roku. Kompanji zaś zachciało się jajek.

Wieczorem udał się jeden patrol i powrócił z niczem. Po północy na ochotnika zebrał się drugi. Wciągali mnie do niego. Niebardzo chętnie poszedłem z nimi. Szliśmy dość szybko pod osłoną lasu. Potem, gdy już drzewa przerzedziły się, inicjator patrola pozostał z oddziałem, mnie zaś wysłał z dwoma żołnierzami zabrać wedetę, którą trzeba było odszukać, ewentualnie ściągnąć pościg a sobą do miejsca ukrytego oddziału.

Schodziliśmy ciągle w dół. Przed nami był teren niczem nie osłonięty na dystans do sześciuset kroków, potem już były chałupy. Śnieg skrzypiał pod nogami, co chwila trzeba było przykucnąć. Mimo ostrożnego podchodzenia, wedeta nas spostrzegła. Stała za chałupą. Z chałupy wygarnęli się inni sałdaty. Zawróciliśmy. Wyprawa spełzła na niczem.

Nad ranem wyszedł trzeci patrol. Ten wpadł gorzej, o mało że nie został wybity. Rozwidniało się, gdy zbliżali się nasi do wsi, moskale zaraz ich zauważyli i zaczęli ostrzeliwać. Z patroli jeden został lekko zraniony.

Po dwudziestu czterech godzinach służby, zluzowani przez inną komp. — jak zwykle — wróciliśmy do swych kwater w Rökamezo. Wieczorem żołnierze nasi kolendowali z gwiazdą oficerom i żołnierzom. Częstowano ich zato czekoladą i wódką.

Z Nowym Rokiem przyszły awanse i gwiazdki. Pierwszy raz przyszywaliśmy do kołnierzy gwiazdki.

Awanse dostali: dowódca baonu stopień majora, dowódca komp. stopień kapitana i z różnych kompanij chorążych kilku stopień podporuczników. Jeden z plutonowych komp. szóstej również dostał stopień podporucznika. W kompanji naszej przybyło trzech kaprali i dwóch starszych legj.

Dnia 10 stycznia zmienili nas austrjacy. Odmaszerowaliśmy do Kusznicy. Stąd zaś następnego dnia odjechaliśmy kolejką wąskotorową do Nagyszöles. Następnie odjechaliśmy do Borszy, gdzie przybyliśmy 16 stycznia.

Pociągi zwykle były przeładowane i wlokły się długo. W wozie zamiast czterdziestu ludzi, gniotło się ponad pięćdziesięciu. Piecyków w wagonach wówczas nie było.

Po wyładowaniu, siedzieliśmy przed stacją cały dzień, paląc ognie.

Prowiantowcy nasi przynieśli w skrzyniach kiełbasę i salami zgniłe i wysypali na ogień. Były to tak zwane oszczędności bataljonowe, które przetrzymywano tak długo, aż się zepsuły.

Na kwatery odmaszerowaliśmy do Borszobanji. Za nami przybyły bataljony z grupy Zielińskiego. Połączeni teraz razem, było nas znowu pięć bataljonów.

Z austrjakami, których tu spotykaliśmy, bywały często zatargi. Przeważnie na tle oddawania honorów, czego oni od nas wymagali, a sami zaś nie raczyli salutować. Często oficerów naszych brano za podoficerów z powodu noszenia białych gwiazdek, tj. srebrnych. Oficerowie austrjaccy mieli żółte.

Ci, którzy odeszli.

W Warszawie zmarł śp. gen. dyw. *Stan. Puchalski* w 64 r. życia. W roku 1916 od lutego do października z ramienia Austrji był Komendantem Legjonów Polskich. W listopadzie 1918 r. został zamianowany dowódcą wojsk polskich w Małopolsce Wschodniej — poczem po trzech miesiącach objął kierownictwo kursu dla adjutantów sztabowych, a potem w 1919 r. został komendantem Szkoły Sztabu Gener., w rok później szefem Dep. I piechoty w M. S. Wojsk., a w roku 1921 przeszedł w stan spoczynku.

Pogrzeb odbył się dnia 18 bm. na cmentarzu Powązkowskim.

Śp. TADEUSZ „ROCH" FOROWICZ
członek Związku Strzeleckiego w Stanisławowie
zginął w bitwie pod Laskami w 1914 r.

(K. K.) Padł jeden z pierwszych...

Padł ugodzony wrażą kulą najeźdźcy w czoło.

Pękło sklepienie, pod którem paliła się, jak wieczysta lampa — idea, kolebana marzeniami i bolesną, miłosną tęsknotą, — pękło sklepienie,

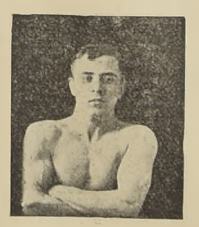

skąd miotała snopy blasków — Idea Polski Wschodzącej w krwawych, ciepłych bryzgach...

Dwa amarantowe pasemka krwi ofiarnej...

Dwa cieniutkie pasemka krwi rubinowej...

Spłynęły cicho na szkliste oczy, grożące majestem śmierci zaborczości wroga...

Dziś w mrokach nocy gwiaździstej tli się ćmą migotliwych ogników, kwitnących nad pobojowiskiem pod Laskami — jedna z wielu tysięcy, płonących na ofiarnym kandelabrze Ojczyzny...

Dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały!

Zdjęcie powyższe, wykonane 30 sierpnia 1914 r. w Kielcach — na 6 dni przed pamiętną przysięgą, złożoną przez 1 p. p. Leg. na Karczówku pod Kielcami (5 września 1914 r.), a na 11 dni przed równie dobrze pamiętnym alarmem i wymarszem całego polskiego garnizonu z Kielc (10 września 1914 r.) — przedstawia trzech z tych, którzy jako jedni z pierwszych na zew Komendanta Józefa Piłsudskiego porwali za broń, by dać światu świadectwo, że „Nie zginęła!", — by płomieniem gorącej miłości Ojczyzny rozpalić żagiew walk o Jej wolność i niepodległość.

Stoi *Jan Dołęga Dełęgowski* (pseudonim Legjonowy, Jaś i Dołęga), wówczas akademik, prawnik, handlowiec branży bankowej, urodzony 19/6 1888 r. w Radomiu, a zamieszkały w Skale koło Miechowa. Służył w 1 p. p. Leg. IV baonu Wyrwy-Furgalskiego, 4 komp. Rojana, a później Rokity, w 1 plutonie Z. Przyjałkowskiego.

Siedzą (od lewej): Podoficer plutonowy Stanisław *Kwiatkowski* (pseudonim drużyniacki i legj. „Kawka"), wówczas kandydat seminarjum nauczycielskiego i „żołnierz" XXIV. P. D. S. w Stanisławowie. Służył w 1 p. p. Leg. IV baonie, 4 komp. I plutonie, jako „podoficer za jego frontem".

Na lewo od niego siedzi śp. Władysław *Kar-*

macki (pseudonim legj. „zbigniew"). Służył w 1 p. p. Leg. IV baonie Wyrwy-Furgalskiego. 4 komp. Rojana, a później Rokity, 1 plutonie Z. Przyjałkowskiego. Od dnia 25 sierpnia 1914 r. pełnił funkcje II zastępowego tego plutonu Pochodził. ze Skały koło Miechowa. gdzie rodzice jego mieli sklep korzenny lub restaurację. Zginął jako podporucznik I p. ułanów.

Powyższe dane czerpię z oryginalnego — z sierpnia 1914 r. — „Spisu ludzi w dzienniku I plutonu 4 komp. IV baonu 1 p. p. Legj.".

„Kawka".

Notatki.

„Powstanie listopadowe" — Alicja Bełcikowska. Warszawa 1930. Wojsk. Instytut Naukowo-Wydawniczy. Cena 2.80 zł.

Z powodu setnej rocznicy powstania listopadowego Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy wydał niezwykle pożyteczną pracę p. t. „Powstanie listopadowe". Praca ta składa się z prelekcji. pieśni powstańców, poezyj powstańczych. wreszcie poezyj wieszczów naszych oraz poetów współczesnych o powstaniu.

Prelekcja zawiera krótko i popularnie ujętą historję powstania. W dziale pieśni powstańców czytelnik znajdzie 36 pieśni, z których 32 zaopatrzone są w nuty. przygotowane na chóry trzygłosowe przez prof. Stanisława Kazurę. Poezyj powstańczych jest 13. pióra Goreczyńskiego, Słosławskiego. Gaszyńskiego i Goszczyńskiego. W ostatnim rozdziale autorka zebrała 9 poezyj o powstaniu — wieszczów naszych: Słowackiego. Wyspiańskiego. Mickiewicza oraz 7 poezyj poetów współczesnych: Or-Ota. Rełidzyńskiego i Dębickiego. Pracę zdobi 20 ilustracyj, stanowiących fragmenty batalistyczne najcelniejszych malarzy. oraz portrety wybitnych lub znanych naówczas postaci.

Należy nadmienić. że książka ta została polecona do użytku w szkołach wszelkich typów przez Ministerstwo Wyznań Rel. i Oświecenia Publ.

„Lwów w czasie powstania listopadowego" — z 11 il. w tekście, str. VII+110, napisał Józef Białynia-*Chołodecki.*

Bibljoteka Lwowska wydała ostatnio jako XXIX tom swych cennych wydawnictw — książkę Józefa Chołodeckiego pod tytułem jak wyżej.

Autor w 14 rozdziałach daje całkowity obraz ówczesnych stosunków we Lwowie, przyczem poza opisami miasta i osób rządzących, poświęca autor dużo miejsca lwowianom. którzy pośpieszyli na pole walki. podaje nader interesujące szczegóły o wkroczeniu i rozbrojeniu korpusu Dwernickiego. o internowaniu oddziału Benedykta Kołyszki i przechodzą kolejno czasy u schyłku wojny i po upadku tego powstania, wymienia tych bohaterów z 1831 r.. którzy kości swe złożyli na lwowskim cmentarzu. Pozatem wymienia autor nazwiska funkcjonarjuszy państwowych, którzy wzięli udział w powstaniu, a także listę internowanych oficerów korpusu Dwernickiego.

Książka pisana stylem i duchem tak pięknym i dostępnym. że czyta się ją jak powieść, a przedstawiane czasy zdają się być obrazami, przesuwającemi się przed oczyma naszemi — jakby stało się to wszystko kilka lat temu, jakgdyby sami byliśmy świadkami tego okresu.

Książkę tę polecamy naszym czytelnikom.

Od Redakcji.

Redakcja „Panteonu Polskiego" uprasza wszystkich. którzyby mogli nam podać jakiekolwiek wiadomości z czasów rozstrzelania pewiaków Dmytrowa i Popiela w Tarnopolu w 1919 r. by byli łaskawi nadesłać nam to możliwie rychło, gdyż chcielibyśmy uzupełnić nasze materjały i przejścia tarnopolskie opisać szczegółowo.

* * *

Wielu naszych stałych Czytelników nie odnowiło jeszcze przedpłaty na 1931 r. Prosimy o to i oczekujemy nowych prenumeratorów, zjednanych nam przez dotychczasowych.

* * *

Każdy nowy, roczny prenumerator otrzyma bezpłatnie premję p. t. *„Przez rewolucję 1905 r. do Legjonów 1914 r".*

* * *

Zestawienie bibliogr. dotychczas w „Panteonie Polskim" umieszczonych artykułów i notatek a także ilustracji — nabyć można w administracji naszej w cenie po 2 zł.

* * *

Ten działa na szkodę pisma, kto *nie wyrównał* należytości za rok 1930-ty, *a kto nie złoży* przedpłaty na 1931 r. ten uniemożliwi dalsze wydawanie pisma.

* * *

Nadsyłajcie wspomnienia i notatki z czasów Zw. Strzel. i Drużyn przed 1914, Legjonów, P. O. W. i t. d. Umieścimy w Panteonie.

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW. SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF.. „ARS". SYKSTUSKA 52. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.